

TRELOAR BUILDING STAŁ i nadal stoi przy Olive Street, nieopodal Szóstej, po zachodniej stronie. Chodnik od frontu wyłożono czarno-białą kauczukową kostką, którą akurat demontowano, żeby zdać ją rządowi. Prace nadzorował blady mężczyzna o gołej głowie i twarzy dozorczy; wyglądał, jakby pękało mu przy tym serce.

Minąłem go, przechodząc pod sklepowymi arkadami prosto do przestronnego holu mieniącego się czernią i złotem. Gillerlain Company mieściło się na siódmym piętrze za podwójnie oszklonymi, okutymi platyną drzwiami wahadłowymi. Podłogę recepcji ktoś udekorował chińskimi dywanikami i zastawił kanciąstymi, acz fikuśnymi meblami. Pod matowosrebrnymi ścianami sterczały abstrakcyjne rzeźby, a w narożnej witrynie zaaranżowano wystawkę. Na rozmaitych półkach, schodkach, wyspach i cypelkach z lśniących lustrzanych tafli stały chyba wszystkie wymyślne buteleczki i pudełeczka świata, a w nich kremy, pudry, mydła i wody toaletowe na każdą okazję i porę roku. Wysokie cieniutkie flakoniki perfum wyglądały, jakby mógł je zdmuchnąć byle wietrzyk, a na pastelowych fiolkach, uroczych jak dziewczynki na lekcji tańca, zawieszano satynowe kokardki. Perłę tej kolekcji stano-

wiła jednak pękata i niewyszukana bursztynowa buteleczka. Stała samotnie opatrzona etykietą *Gillerlain Regal, szampan pośród perfum*. Za to można było zabić. Kropelka na kobiecym dekolcie wystarczy, by z nieba posypał się deszcz różowych pereł.

Przy małej centralce telefonicznej naprzeciwko kryła się za barierką schludnie ubrana drobna blondynka. Z kolei na wprost drzwi, za okazałym biurkiem urzędowała wysoka szczupła czarnowłosa piękność. Jak głośno tłoczona tabliczka – panna Adrienne Fromsett. Miała na sobie stalowoszary kostium, a pod marynarką ciemnoniebieską koszulę i krawat o jaśniejszym odcieniu. Poszetką wystającą z brustaszy pewnie dałoby się pokroić chleb, przynajmniej tak wyglądały jej zaprasowane krawędzie. Kobieta nie nosiła żadnej biżuterii poza łańcuszkiem na nadgarstku. Ciemne, zaczesane z przedziałkiem włosy spływały luźnymi, choć nieprzypadkowo ułożonymi falami. Miała gładką cerę o odcieniu kości słoniowej, raczej surowe brwi i duże ciemne oczy, które pewnie mogłyby kogoś obdarować ciepłym spojrzeniem, ale we właściwym miejscu i czasie.

Położyłem na biurku swoją wizytówkę, tę bez karabinu maszynowego w rogu, i zapytałem o pana Derace'a Kingsleya. Spojrzała na kartonik i odparła:

– Był pan umówiony?

– Nie, nie byłem.

– Trudno złapać pana Kingsleya, jeśli się z nim nie umówiło.

Nie mogłem się co do tego spierać.

– Zdradzi mi pan, o co chodzi, panie Marlowe?

– O sprawę osobistą.

– Rozumiem. Czy pan Kingsley pana zna, panie Marlowe?

– Nie sędzę. Ale mógł o mnie słyszeć. Proszę powiedzieć, że jestem od porucznika M’Gee.

– A czy pan Kingsley zna porucznika M’Gee?

Odłożyła moją wizytówkę na bok, przy stosiku świeżo zapisanej na maszynie korespondencji. Odchyliła się, położyła rękę na biurku i zastukała delikatnie o blat niewielkim złotym piórem. Wyszczrzyłem się do niej. Blondyneczka przy centrali telefonicznej nastawiła ucha i uśmiechnęła się niewinnie. Wydawała się figlarna, ale raczej niezbyt pewna siebie. Jak kotek, który trafił do domu, gdzie nie przepadają za kotkami.

– Mam taką nadzieję – odpowiedziałem – ale może najlepiej będzie jego o to zapytać.

Zaparafowała szybko trzy listy, chyba tylko po to, żeby nie cisnąć we mnie piórem. Odezwała się ponownie, tym razem nawet nie unosząc głowy.

– Pan Kingsley jest na spotkaniu. Przekażę pańską wizytówkę przy najbliższej okazji.

Podziękowałem i usiadłem w chromowanym fotelu ze skórzaną tapicerką, który okazał się sporo wygodniejszy, niż się na to zanosilo. W pokoju zapadła cisza. Nikt nie wychodził ani nie przychodził. Elegancka dłoń panny Fromsett wędrowała po dokumentach i czasem tylko było słyhać przytłumione pomruki obsługującego centralę kociaka oraz klikanie przełączanych wtyczek.

Zapaliłem papierosa i przysunąłem sobie bliżej krzesła popielnicę. Minuty przemykały cichutko jak myszki. Rozejrzałem się, ale trudno było z wystroju poczekalni cokolwiek wykoncypować. Może zarabiali miliony, a na

zapleczu ich forsy pilnował szeryf wyciągnięty na krzesła opartym o sejf.

Pół godziny i trzy lub cztery papierosy później za panną Fromsett otworzyły się drzwi i do poczekalni weszło dwóch zanoszących się od śmiechu mężczyzn. Trzeci puścił ich przodem, chwilę pośmiał się razem z nimi, pożegnał serdecznie, a gdy wyszli, natychmiast zrzucił uśmiech z twarzy. Był wysoki, nosił szary garnitur i ewidentnie nie przepadał za wygłupami.

– Ktoś dzwonił? – zapytał ostrym tonem.

Panna Fromsett odparła cicho:

– Przyszedł pan Marlowe. Od porucznika M’Gee. Chodzi o sprawę osobistą.

– Pierwsze słyszę – burknął dryblas.

Zgarnął moją wizytówkę i nie zaszczycając mnie choćby spojrzeniem, wrócił do gabinetu. Pneumatyczny domykacz drzwi wydał z siebie dźwięk podobny do „fuuuuu”. Panna Fromsett posłała mi uroczy smutny uśmiech, na który odpowiedziałem dość obleśnym spojrzeniem. Żułem kolejnego papierosa, a czas mijał chwiejnym krokiem. Moja sympatia do Gillerlain Company nie przestawała rosnąć.

Dziesięć minut później otworzyły się te same drzwi. Z gabinetu wypadł ten sam ważniak, tym razem w kapeluszu, i rzucił, że idzie do fryzjera. Przeszedł sprężystym krokiem po chińskim dywanie, ale mniej więcej w połowie odległości do drzwi wejściowych nagle zmienił kurs i stanął przede mną.

– Pan się chciał ze mną widzieć? – szczechnął.

Miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i niewiele tłuszczu na ciele. Jego szare jak kamień tęczęwki

pobłyskiwały chłodnym światłem. Nosił dobrze skrojony garnitur z gładkiej szarej flaneli w pionowe kredowobiałe prążki, i nosił go z elegancją. Nie wyglądał na kogoś, z kim łatwo się dogadać.

Podniosłem się z krzesła.

– O ile nazywa się pan Derace Kingsley.

– A myślał pan, że kim, u diabła, jestem?

Rozmyślnie nie odpowiedziałem i podałem mu wizytówkę, tym razem tę z nadrukiem. Ścisnął kartonik w swoim łapsku i spojrzął na niego ponuro.

– Kto to jest M’Gee? – warknął.

– Znajomy.

– Fascynujące – powiedział, spoglądając na pannę Fromsett. Podobało jej się to. I to bardzo. – Będzie pan uprzejmy powiedzieć mi o nim coś więcej?

– Cóż, nazywają go Fiołek M’Gee – odparłem – bo żuje te takie małe fiołkowe pastylki na gardło. Kawał chłopca, siwa czupryna i usteczka stworzone do całowania niemowlaków. Ostatnio miał na sobie szykowny błękitny garnitur, brązowe buty o szerokich noskach, szary filcowy kapelusz i popalał opium z krótkiej fajki.

– Nie podoba mi się pańskie zachowanie – powiedział Kingsley głosem, którym można by rozłupać orzech.

– Nie szkodzi. Nie jest na sprzedaż.

Odsunął się gwałtownie, jakbym mu podsunął pod nos tygodniową makrelę. Po chwili odwrócił się do mnie plecami i rzucił przez ramię:

– Daję panu dokładnie trzy minuty. I Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

Raźnym krokiem przemknął obok biurka panny Fromsett i otworzył drzwi do gabinetu ruchem tak za-

10

maszystym, że mało nie dostałem w zęby. To również spодobało się pannie Fromsett, choć teraz w jej oczach krył się przebiegły uśmieszek.

PRYWATNY GABINET KINGSLEYA wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać prywatny gabinet. Był długi, ciemny, cichy i wyposażony w klimatyzator. Zatrzaśnięte okna i opuszczone do połowy szare żaluzje pilnowały, by lipiec przypadkiem nie ważył się wkraść do środka. Szare zasłony idealnie komponowały się z szarą wykładziną. W rogu stał duży czarno-srebrny sejf, a przy nim rząd niskich szafek na akta w identycznym kolorze. Na ścianie widniała ogromna podkolorowana fotografia starszego jegomościa o ostrym nosie, z bokobrodami i w wysokim sztywnym kołnierzyku. Sterczące z niego jabłko Adama wyglądało solidniej niż niejeden podbródek. Plakietka poniżej obwieszczała: *Matthew Gillerlain, 1860-1934*.

Derace Kingsley pomaszerował rażno za dyrektor-skie biurko, które kosztowało przynajmniej z osiem stówek, i usadził tylną część ciała w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Sięgnął do miedziano-mahoniowej szkatułki po cygaro, przyciął je i przypalił pękatą biurową zapalniczką. Nie śpieszył się. Mój czas się nie liczył. Odchylił się i wydmuchnął obłoczek dymu.

– Jestem człowiekiem interesu – powiedział. – Nie zwykłem zajmować się głupotami. Pańska wizytówka

mówi, że jest pan prywatnym detektywem. Niech pan pokaże coś, co mi to udowodni.

Sięgnąłem po portfel i podałem mu coś, co mu to udowodniło. Spojrzał na moje papiery i rzucił je na biurko. Celuloidowe etui z kopią mojej licencji spadło na podłogę. Nie zwracał sobie głowy przeprosinami.

– Nie znam żadnego M’Gee – powiedział – ale znam szeryfa Petersena. Poprosiłem go o solidnego człowieka do pewnej roboty. Zgaduję, że pan nim jest.

– M’Gee jest z hollywoodzkiego wydziału biura szeryfa. Może pan sprawdzić.

– Nie ma potrzeby. Chyba się pan nada, tylko żadnego błaznowania. Kiedy komuś płacę, jest mój. Ma pan robić, co mówię, i trzymać gębę na kłódkę. Albo pan poleci. Czy to jasne? A może jestem dla pana za twardy?

– Tę kwestię pozostawmy na razie otwartą.

Skrzywił się.

– Ile pan bierze? – rzucił.

– Dwadzieścia pięć dniówki plus wydatki. Oraz osiem centów za każdą przejechaną milę.

– Absurd – prychnął. – Za dużo. Piętnaście dniówki za wszystko. A to i tak sporo. Zapłacę za benzynę, ale w granicach rozsądku. Tylko żadnych wycieczek po mieście!

Wydmuchałem niewielki szary obłoczek papierosowego dymu, który rozgoniłem machnięciem ręki. Nie odpowiedziałem, czym wydawał się cokolwiek zaskoczony.

Nachylił się nad blatem i pogroził mi cygarem.

– Jeszcze pana nie zatrudniłem – powiedział – ale jeśli to zrobię, to cała sprawa ma być poufna. Żadnych pogaduszek z kumplami z policji. Zrozumiano?



– Może mi pan w końcu powie, o co chodzi, panie Kingsley?

– Coś pan taki hop do przodu? Bierze pan różne zlecenia, nie?

– Ale nie wszystkie. Tylko te względnie uczciwe.

Gapił się na mnie spode łba, zaciskając mocno szczęki. Jego szare oczy nie zdradzały absolutnie niczego.

– Nie zajmuję się chociażby rozwodami – mówiłem dalej. – A od nieznamomych biorę stówkę zaliczki.

– Proszę, proszę – odparł zaskakująco łagodnie. – Proszę, proszę.

– A co do tego, czy jest pan dla mnie za twardy – ciągnąłem – to klienci albo płaczą mi w rękaw, albo ciosają kolki na głowie, żeby pokazać, kto tu rządzi. Ale koniec końców zazwyczaj się dogadujemy. O ile przeżyją.

– Proszę, proszę – powtórzył tak samo łagodnie i gapił się na mnie dalej. – Wielu klientów pan traci?

– Nie, jeśli dobrze mnie traktują – odpowiedziałem.

– Proszę cygaro.

Skorzystałem z propozycji i schowałem je do kieszeni.

– Chciałbym, żeby odnalazł pan moją żonę. Zniknęła przed miesiącem.

– Dobrze. Znajdę pańską żonę.

Kingsley uderzył dłońmi o blat. Spojrzał na mnie twardo.

– Tak, tak mi się właśnie wydaje – stwierdził. Po chwili uśmiechnął się szeroko. – Od czterech lat nikt mnie tak nie potraktował.

Nie odpowiedziałem.

– Niech to diabli – mówił dalej. – Nieźle! Całkiem nieźle! – przecesał palcami swoje gęste ciemne włosy. –

Nie ma jej od miesiąca. Zniknęła z naszego górskiego domku nieopodal Puma Point. Zna pan Puma Point?

Odparłem, że znam Puma Point.

– Nasz domek znajduje się trzy mile od miasteczka – mówił – nad prywatnym jeziorem Little Fawn. Postawiliśmy we trójkę tamę, żeby lepiej się mieszkało. Ziemia należy do mnie i dwóch innych osób. To kawał terenu, ale słabo zagospodarowany i jeszcze jakiś czas taki pozostanie. Oprócz mnie domki mają tam moi przyjaciele oraz niejaki Bill Chess, weteran, który mieszka tam z żoną za darmo i wszystkiego dogląda. I tyle. Moja żona wyjechała w połowie maja, dwukrotnie wpadła z powrotem na weekend, a dwunastego czerwca miała wrócić na przyjęcie, ale się nie pojawiła. I już jej nie zobaczyłem.

– Jakie działania podjął pan do tej pory? – zapytałem.

– Żadnych. Najmniejszych. Nawet tam nie pojechałem. Zamilkł, czekając, aż zapytam dlaczego.

– Dlaczego? – zapytałem.

Odsunął się na fotelu do tyłu, żeby otworzyć szufladę zamykaną na klucz. Wyciągnął z niej złożoną kartkę i podał mi ją. Rozłożyłem ją i zobaczyłem, że to blankiet telegraficzny. Wiadomość nadano z El Paso czternastego czerwca o godzinie dziewiątej dwiętnaście na adres Derace’a Kingsleya, Carson Drive 965, Beverly Hills. Brzmiał następująco: „Wyjeżdżam po rozwód do Meksyku. Stop. Wyjdę za Chrisa. Stop. Powodzenia i żegnaj, Crystal”.

Odłożyłem kartkę na swoją stronę biurka, a Kingsley podał mi dużą i wyraźną odbitkę na połyskliwym papierze. Przedstawiała mężczyznę i kobietę siedzących

na piasku pod plażowym parasolem. On miał na sobie krótkie spodenki, a ona coś jakby wyzywający kostium kąpielowy z błyszczącej tkaniny. Była szczupłą blondynką, młodą, kształtną i z uśmiechem na ustach. Mężczyzna był roslym opalonym przystojniakiem, miał silne ramiona i nogi oraz gładkie ciemne włosy i białe zęby. Metr osiemdziesiąt typowego rozbijacza rodzin. Ramiona stworzone do miłosnych uścisków i niewiele więcej. W dłoni trzymał okulary słoneczne i spoglądał w obiektyw z wystudiowanym niedbałym uśmiechem.

– To Crystal – powiedział Kingsley. – A to Chris Lavery. Niech go sobie bierze, a on ją, i niech ich szlag trafi.

    Położyłem fotografię na telegramie.

– Dobra, a gdzie jest haczyk? – zapytałem.

– Nie ma tam telefonu – odparł. – I nie dbałem o ten romans na tyle, żeby się fatygować osobiście. Dlatego dopóki nie przyszedł telegram, nie zaprzętałem sobie tym głowy, a gdy już przyszedł, niespecjalnie się zdziwiłem. Między mną i Crystal od lat już nic nie ma. Ona prowadzi swoje życie, a ja swoje. Ma własne pieniądze, i to całe mnóstwo. Około dwudziestu tysięcy rocznie z rodzinnej firmy, która dzierżawi cenne pola naftowe w Teksasie. Miewa kochanków, a ten Lavery był jednym z nich, zresztą nie pierwszym. Może odrobinę mnie zdziwiło, że chce za niego wyjść, bo ten facet to zawodowy podrywacz. Ale do tej pory wszystko się zgadzało, rozumie pan?

– A potem?

– Przez dwa tygodnie cisza, aż skontaktował się ze mną hotel Prescott z San Bernardino, z pytaniem, co zrobić z packardem clipperem zarejestrowanym na

Crystal Grace Kingsley, który stoi na ich parkingu. Kazałem go nie ruszać i wysłałem im czek. Wtedy też jakoś się nie przejąłem. Uznałem, że jeśli rzeczywiście wyjechała z kraju samochodem, to pojechali autem Lavery'ego. Tyle że przedwczoraj spotkałem go za rogiem, pod Athletic Club. I powiedział mi, że nie ma pojęcia, gdzie jest Crystal.

Kingsley rzucił mi szybkie spojrzenie i sięgnął po butelkę oraz dwie szklaneczki z barwionego szkła. Nalał nam po jednym i podsunął mi szklankę. Swoją uniósł pod światło i powiedział powoli:

– Lavery twierdzi, że nigdzie z nią nie wyjeżdżał, że od dwóch miesięcy nie widział jej na oczy i że w żaden sposób się z nią nie kontaktował.

– Uwierzył mu pan? – zapytałem.

Sposepniał i pokiwał głową. Wychylił łyk i odepchnął od siebie szklankę, a ja upiłem nieco ze swojej. Szkocka, ale niezbyt dobra.

– Gdybym mu wierzył, zapewne niesłusznie, to nie dlatego, że można na nim polegać – odparł Kingsley. – Bynajmniej. Raczej dlatego, że to kawał sukinsyna, który myśli, że to nic złego uwodzić kobiety znajomych i jeszcze się z tym obnosić. Jak nic wszystkim by rozpowiedział, że moja żona z nim związała. Znam niejednego takiego lowelasa, a tego aż za dobrze. Pracował dla mnie kiedyś, ale cały czas pakował się w kłopoty. Nie potrafił trzymać łap z dala od dziewczyn z biura. Poza tym powiedziałem mu o tym telegramie z El Paso. Czemu miałby dalej kręcić?

– Mogła go pogonić – odparłem. – To byłby cios w czuły punkt, kompleks Casanovy.

Kingsley rozchmurzył się nieco, ale na krótko. Pokręcił głową.

– Nadal skłonny jestem mu wierzyć – powiedział – chyba że znajdzie pan dowody, że było inaczej. Między innymi po to chcę pana wynająć. Niepokoi mnie jednak co innego. Mam tu dobrą pozycję, ale to tyle. Nie mogę sobie pozwolić na żadne skandale. Wyleciałbym raz-dwa, gdyby moja żona miała kłopoty z policją.

– Z policją?

Spochmurniał.

– Nie licząc innych jej zajęć, moja żona od czasu do czasu wynosi jakieś drobiazgi z domów towarowych. Gdy sobie wypije, dopada ją coś na kształt megalomanii. Mieliśmy już przez to kilka nieprzyjemnych rozmów na zapleczu. Do tej pory jakoś udawało się nie angażować policji, ale jeśli coś podobnego przydarzyłoby się jej w obcym mieście, gdzie nikogo nie zna... – Uniósł dłonie i pozwolił im opaść z plaśnięciem na blat biurka. – Cóż, wtedy mogłoby jej grozić więzienie, prawda?

– Czy zdejmowano jej kiedyś odciski?

– Nigdy nie była aresztowana – odparł.

– Nie o to mi chodziło. Czasem duże domy towarowe zgadzają się na odstąpienie od zgłoszenia kradzieży pod warunkiem pobrania odcisków palców. Odstrasza to amatorów i rozbudowuje prowadzone przez stowarzyszenia ochrony handlu akta kleptomatów. A kiedy takie odciski wypływają zbyt często, zabawa się kończy.

– O ile mi wiadomo, nic podobnego się nie zdarzyło – odpowiedział.

– Dobra, czyli wydaje się, że na razie nie musimy się tym kłopotać. Gdyby ją aresztowano, zostałyby przeszu-

kana. I nawet jeśli gliniarze spisałiby ją pod fałszywym nazwiskiem, to i tak prędzej czy później by się z panem skontaktowali. Poza tym sama by krzyczała o pomoc, gdyby się znalazła w takich tarapatach. – Postukałem palcem w niebiesko-biały blankiet. – No i ten telegram ma miesiąc. Gdyby to, o czym pan myśli, w ogóle się wydarzyło, to sprawę by już do tej pory zamknięto. Byłoby to jej pierwsze wykroczenie, dostałaby pouczenie i wyrok w zawieszeniu.

Kingsley nalał sobie jeszcze jednego drinka, by sprawniej uporać się ze zmartwieniami.

– Dzięki panu trochę mi lepiej – powiedział.

– Mogło się wydarzyć całe mnóstwo rzeczy – odparłem. – Może rzeczywiście wyjechała z Laverym, ale się rozstali. Może odeszła z innym facetem, a ten telegram to bujda. Może wyjechała sama albo z kobietą. Może przesadziła z alkoholem i siedzi gdzieś na prywatnym odwyku. Może ma jakieś inne kłopoty, o których nie mamy zielonego pojęcia. A może przytrafiło się jej coś złego.

– Dobry Boże, proszę tak nie mówić – obruszył się Kingsley.

– Czemu nie? Musi pan to brać pod uwagę. Opisał mi pan z grubsza panią Kingsley jako osobę młodą, ładną, bezmyślną i narwaną. Do tego pije i po alkoholu robi niezbyt mądre rzeczy. Ciągnie ją do mężczyzn i mogła spiknąć się z jakimś nieznanym, który okazał się zbirzem. Czy mój opis pasuje?

Przytaknął.

– Jak ulał.

– Ile mogła mieć pieniędzy?

– Lubiła nosić przy sobie konkretną kwotę. Ma własne konto. Mogła mieć każdą sumę.

– Dzieci?

– Nie.

– Czy pan zarządzał jej interesami?

Zaprzeczył.

– Żadnych nie prowadziła, nie licząc książeczek czekowej, podejmowania pieniędzy i ich wydawania. Nigdy nie zainwestowała nawet centa. A z jej pieniędzy nie korzystałem, jeśli o to panu chodzi. – Zamilkł na moment, po czym odezwał się ponownie. – Niech pan nie myśli, że nie próbowałem. Jestem tylko człowiekiem i żadna to rozrywka patrzeć, jak dwadzieścia tysięcy rocznie idzie z dymem na leczenie kaca i bawidamków w typie Chrisa Lavery’ego.

– A jak pan stoi z jej bankiem? Nie podadzą panu informacji o czekach, które realizowała w ciągu ostatnich paru miesięcy?

– Nic mi nie powiedzą. Zgłosiłem się do nich kiedyś, gdy miałem podejrzenie, że ktoś ją szantażuje, ale mnie zbyli.

– Dostaniemy je – powiedziałem. – Mogą okazać się niezbędne. Musimy zgłosić się do Biura Osób Zaginionych. Ale to pewnie panu nie na rękę?

– Gdyby było mi na rękę, tobym z panem nie rozmawiał.

Skinąłem głową, zgarnąłem materiał dowodowy i pochowałem po kieszeniach.

– Ta sprawa może być bardziej złożona, niż nam się wydaje – powiedziałem. – Zacznę od rozmowy z Laverym,

a potem podjadę nad jezioro Little Fawn i zasięgnę języka na miejscu. Będę potrzebować adresu tego żigolaka i upoważnienia dla tego pańskiego zarządcy w górach.

Wyciągnął z szuflady papier firmowy, zapisał kilka zdań i podał mi kartkę, którą od razu przeczytałem: „Drogi Billu, przedstawiam ci pana Philipa Marlowe’a, który chciałby się rozejrzeć po posiadłości. Pokaż mu, proszę, mój domek i udziel niezbędnej pomocy. Twój Derace Kingsley”. Złożyłem list i schowałem do koperty, którą zdążył zaadresować, gdy czytałem.

– A pozostałe domki? – zapytałem.

– W tym roku jeszcze nikogo tam nie było. Jeden z właścicieli pracuje w służbie cywilnej w Waszyngtonie, a drugi jest w Fort Leavenworth. Żony są z nimi.

– Jeszcze adres Lavery’ego – przypomniałem.

Spojrzał gdzieś wysoko nad moją głową.

– Gdzieś w Bay City. Potrafiłbym znaleźć dom, ale adresu sobie nie przypominę. Chyba panna Fromsett może go panu podać. Nie musi wiedzieć, po co panu potrzebny, choć pewnie i tak się domyśli. I mówił pan jeszcze coś o stu dolarach?

– Nie trzeba – odparłem. – Tak tylko rzuciłem, kiedy mnie pan poniewierał.

Uśmiechnął się szeroko. Podniosłem się z krzesła, ale zatrzymałem się na chwilę i przyjrzałem Kingsleyowi. Po chwili powiedziałem:

– Nie ukrywa pan niczego? Niczego istotnego?

Spojrzał na swój kciuk.

– Nie. Niczego nie ukrywam. Martwię się i chciałbym się dowiedzieć, gdzie ona jest. Cholernie się martwię.



Jak pan coś znajdzie, proszę dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy.

Obiecałem, że tak zrobię. Uścisnęliśmy sobie dłonie, przemierzyłem obszerny chłodny gabinet i zatrzymałem się na zewnątrz przy siedzącej elegancko za biurkiem panie Fromsett.

– Pan Kingsley prosił, żeby podała mi pani adres Chrisa Lavery’ego – powiedziałem, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

Powolnym ruchem sięgnęła do oprawionej w brązową skórę książki adresowej i przekartkowała ją. Gdy się odezwała, mówiła tonem lodowatym i pełnym niechęci.

– Mamy tu adres Altair Street 623 w Bay City. Telefon Bay City 12523. Pan Lavery nie pracuje dla nas od ponad roku, mógł się w tym czasie przeprowadzić.

Podziękowałem jej i udałem się ku drzwiom. Przystanąłem na progu i zerknąłem ku niej. Siedziała sztywno, z dłońmi na blacie biurka, wpatrzona przed siebie. Na policzkach wykwitły jej czerwone plamy. Oczy miała nieobecne i pełne goryczy.

Odniosłem wrażenie, że wzmianka o panu Chrisie Laverym nie wzbudziła jej zachwyty.